Portugalskie rekonesanse



Lizbona

Florian Śmieja

Wybierając się przed laty z grupą kanadyjskich studentów na kurs do Sewilli, napisałem o tym zamiarze do Feijó. Odwrotną pocztą przyszła kartka. *„Sewilla blisko – czy nie zajrzy Pan do Portugalii i do naszej samotni”*. Zapraszała Maria Zielińska 31 maja 1988 roku.

Byłem w Portugalii już dwukrotnie przedtem, raz, by zobaczyć Fatimę, o której przetłumaczyłem książkę, a nie znałem miejsca z autopsji. Drugim razem wybrałem się z całą rodziną, żoną i czworgiem dzieci, samochodem z Torremolinos pod Malagą, gdzie mieszkaliśmy przez pół roku w 1975, do podlizbońskiej miejscowości Feijó, z jej polską stanicą, odkąd osiadła w niej zaprzyjaźniona z nami od londyńskich jeszcze czasów Maria Danilewiczowa Zielińska. Była to pamiętna wyprawa.

Na Półwyspie Iberyjskim nastały wówczas dramatyczne czasy. W Portugalii nastąpił przewrót polityczny. W Hiszpanii obserwowano zajścia w sąsiednim kraju ze szczególną troską. Pojechałem do Madrytu z Malagi, bo czekała mnie ważna kwerenda w Bibliotece Narodowej. Akurat w tym dniu w Portugalii nie udała się próba zamachu stanu wskutek czego grupa oficerów, z niedawnym bohaterem gen. Spinolą na czele, musiała się schronić na terytorium Hiszpanii. Popijając czerwone wino z Józefem Łobodowskim komentowaliśmy aktualne wydarzenia i zamknięcie granicy portugalskiej. Mój rozmówca zauważył przy tej okazji żartem, że cała ta afera doskonale

ilustrowała różnicę między charakterem Portugalczyków a Hiszpanów. Podobne wypadki pociągnęłyby w Hiszpanii wielu zabitych, podczas gdy w Portugalii skończyło się na kilkunastu poturbowanych. Pomyślałem, że taka powściągliwość świadczyła dobrze o ludziach. Więc warto było zaryzykować podróż.

Hiszpańskie gazety skwapliwie powtarzały każdą sensację, ale o normalizacji i ponownym otwarciu granicy zupełnie jakoś zapomniały. O ile pamiętam, nieczynne były telefony. Tym niemniej postanowiliśmy zaryzykować i pojechać zobaczyć na własne oczy sytuację i odwiedzić panią Marię.

Spakowawszy rzeczy potrzebne do campingu, ruszyliśmy przez góry oddzielające Malagę od żyznej równiny ciągnącej się po Cordobę, Sewillę i Huelvę. Zostawiliśmy na boku ładne historyczne miasteczko Antequerę z jej dolmenami w bezchmurny dzień marcowy i puściliśmy się do Osuny z jej monumentalnym zamkiem i kościołem oraz dawnym uniwersytetem. Po drodze, w miarę jak się posuwaliśmy, zmieniały się gleby: czerwone mieszały się z płowymi, nieomal białymi, i czarnoziemem. Jechaliśmy przez kraj latyfundiów i mijali ogromne majątki, przeważnie gaje oliwkowe i pastwiska, ale także pokaźne łany zbóż. Przejechaliśmy przez rzekę Guadalquivir, a następnie Rio Tinto i zalew morski, znaleźli się w Moguer, na ziemi Juana Ramóna Jiméneza i jego potyckiego osiołka „Srebronia”, a w Palos pokłoniliśmy się pomnikowi

Kolumba w miejscu, skąd ruszył on na odkrycie Ameryki. W Huelvie w gaju sosnowym zrobiliśmy postój. Nękały już komary, ale grały świerszcze i była ciepła noc z ogromnym wiosennym księżycem.

Dalej jechaliśmy przez urocze gaje eukaliptusowe, łąki kwitnące i dorodne łany pszenicy już w kłosie.

W Ayamonte załadowaliśmy się na prom, którym przeprawiliśmy się przez szeroką rzekę Guadianę do Villa Verde Ficalho. Tam, po skrupulatnej inspekcji celnej, wpuszczono nas do Portugalii, a my ochoczo ruszyliśmy wśród łagodnych pagórków na północ.

Od momentu wjazdu rzuciła nam się w oczy ogromna ilość plakatów propagandowych i napisów na murach i ścianach, na drogowskazach i mostach, na balustradach, kościołach i domach. Te slogany i niezdarnie malowane emblematy – najczęściej sierp i młot, gwiazda albo pięść zaciśnięta – czerwoną farbą kalały jasną biel zabudowań, świadcząc dobitnie o kulturze sprawców. No, ale były one symptomem politycznej walki, wielkiej szansy komunistów, by przechwycić władzę po epoce dyktatury. Zalegalizowane nowo powstałe partie imały się różnych sposobów, by zdobytej rewolucyjnie władzy nie oddać, a za miesiąc przy urnach wyborczych przypieczętować stan posiadania. Ponieważ w kraju istniał znaczny analfabetyzm, wiedziano, że wyborca będzie głosował na symbole, stąd więc

ten pęd do unaocznienia tych wszystkich groźnych idei.

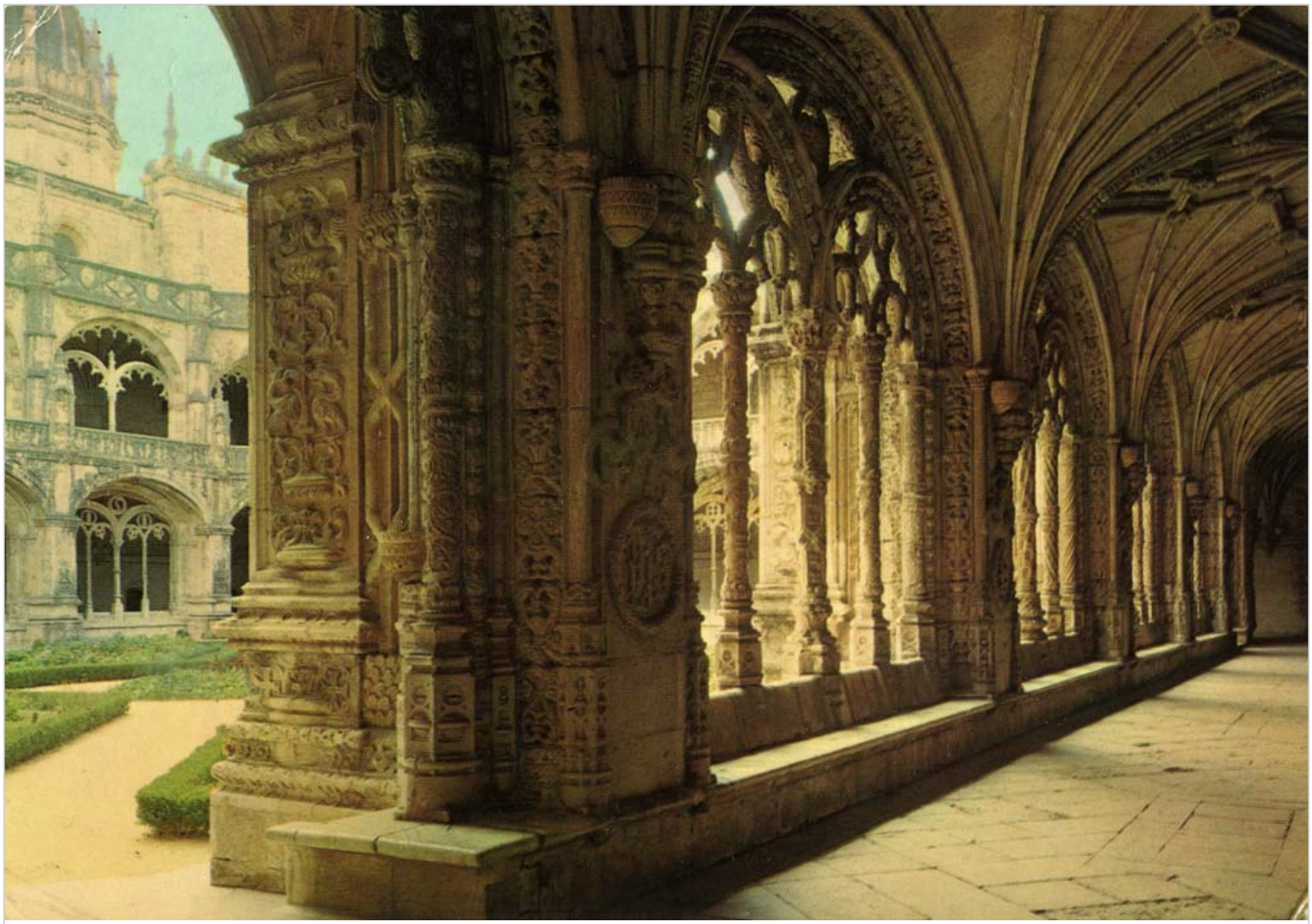
Jechaliśmy krajem biednym i słabo zaludnionym. Stepy, lasy, oliwki, niekiedy lasy eukaliptusowe. Czasem spośród zieleni wyskakiwała bielutka miejscowość, jak np. Merola. Kiedy skończyły się pagórki, a zaczęła żyzna, zielona równina, pokazało się na wzgórzu miasto Beja.

W tamtejszym klasztorze zwiedziliśmy muzeum z pamiątkami po matce Mariannie Alcoforado, domniemanej autorce słynnych „Listów portugalskich", opublikowanych w Paryżu w 1669 roku pięciu listów miłosnych tłumaczonych na wiele języków, m.in. na polski przez Stanisława Przybyszewskiego. Aczkolwiek udowodniono w ubiegłym wieku, że ich autorem był w istocie pisarz francuski, a nie żadna portugalska zakonnica. Kustosz muzeum opowiadał o autorce listów miłosnych, „której sława obiegła świat". Nie oponowałem. Stałem bowiem w miejscu, gdzie żyła legenda, a legendy bywają piękniejsze niż rzeczywistość. I trwalsze.

Przez przemysłowy Setubal dotarliśmy do peryferii Lizbony, do stóp wspaniałego mostu, ongiś noszącego imię Salazara, teraz 25 kwietnia.

Aczkolwiek anonimowy polski podróżnik z 1595 roku zanotował, że Lizbona to *„jest miasto wielkie nad rzeką Tagus…Ma port*

która to rzeka czyni i w wielkości i w możności w zacności najprzedniejszy we wszystkim chrześcijaństwie”… to niespodziewanie dodał, że *„lud w tym mieście bardzo bogaty, ale samo miasto plugawe, ciemne, ciasne”*. Był on bez wątpienie zbyt surowy. Bo Lizbona to miejsce o wielkich tradycjach, które już przez Rzymian zostało wyniesione do godności miasta. Fenicjanie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wizygoci i Arabowie poznali się na strategicznym jego położeniu, a w 1147 roku zdobył je pierwszy król Portugalii, Alfonso Henriques.



Lizbona, Klasztor Hieronimitów.

Dziś jest to nowoczesna stolica o ponad milionie mieszkańców. Z dawnych zabytków architektonicznych, oprócz zamku, katedry i klasztoru Hieronimitów, niewiele przetrwało pamiętne trzęsienie ziemi. Śródmieście zostało dlatego gruntownie przebudowane Rozciągnięte na siedmiu pagórkach miasto zachwyca przepięknymi widokami, które z każdego miejsca biegną aż po lazur Tagu szerokiego jak morska zatoka. W Lizbonie uczciliśmy jeden z bardziej cenionych pomników architektury manuelińskiej, wieży w Belen, w której więziono m.in. gen. Bema, i pomnik postawiony dla uczczenia pięćsetlecia księcia Henryka Żeglarza, inicjatora epopei wielkich odkryć portugalskich zaznaczonych na ogromnej mapie świata – idzie się przez nią do pomnika stojącego na samym brzegu.

Chodziliśmy uliczkami, oglądając wszędzie zeszpecone plakatami wyborczymi i nabazgranymi napisami budynki. Wszędzie można było nabyć cały asortyment „nowych dewocjonaliów": podobizny Marksa, Lenina, Mao Tse-tunga i Che Guevary na broszkach, lusterkach, popielniczkach. A obok tego zatrzęsienie publikacji pornograficznych na każdym kroku, co wyglądało w tym kontekście iście groteskowo.

Oddychaliśmy niemiłą atmosferą nasyconą jakimś oczekiwaniem i czymś niewiadomym, a równocześnie łagodzoną miękkim charakterem Portugalczyków, którym zazdrościliśmy miłego zwyczaju zamykania sklepów i biur w porze obiadowej, tak że

ludzie mogli się przechadzać po chodnikach lub grzać na słoneczku w niespodziewanej sielskości.

Po drugiej stronie rzeki, w zaszytym wśród drzew i krzewów uroczym domku o podwórzu okolonym pachnącymi frezjami, odnaleźliśmy Marię i Adama Zielińskich. Ich siedziba, pełna książek, obrazów, sztychów i starych map Polski, stanowiła istny przybytek polskości w samym sercu Portugalii. Długoletnia i dynamiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie, redaktorka, pisarka i krytyk, tam znalazła schronienie i nowy warsztat pracy, gdzie mogła kontynuować wierną służbę dla polskiej kultury. Mąż jej, od lat zbierający teksty ilustrujące polsko-portugalskie stosunki kulturalne, przygotowywał je do druku.

Zgotowano nam wspaniałe przyjęcie, a nasze dzieci poznały smak staropolskiej gościnności dworku polskiego, kiedy na stół wjechała cenna zastawa i rodzinne srebra.



Maria Danilewicz Zielińska

I tak, mimo niepokojów i politycznych ruchawek, wizyta się odbyła spokojnie, a po niej wróciliśmy do Hiszpanii zadowoleni, że nie stchórzyliśmy, a może zawieźliśmy nieco otuchy oblężonemu krajowi, w którym zaroiło się nagle od najróżniejszych zawodowych talibów lewicy z całej Europy.

Istotnie, nadchodziły z Feijó słowa kojące: *„Żyjemy nadal spokojnie, burze przechodzą bokiem, a chwilami rozjaśnia się – niestety, na krótko, bo jak na taśmie fabrycznej nadjeżdża*

natychmiast jakaś nowa sensacja”. Do listu państwo Zielińscy dołączali, zaproszenie mające się powtarzać w dalszej korespondencji: *„Ciągle jeszcze mam nadzieję, że na trasie dalszej wędrówki znajdzie się znów Portugalia i Feijó”*. *„A może będą Państwo wracać przez Lizbonę i Feijó”*?

Rok później pani Maria donosiła z ulgą:

> Bardzo się tu uspokoiło, choć nie jest to powrót do tego, co było przed kwietniem 1974 – już prawie dwa lata temu. Zaczęły się trudności ekonomiczne, ale jakby już przezwyciężane. Pojawiają się nawet lekko wystraszeni turyści. A pogoda na medal: kwitną mimozy, storczyki, kliwie itd.

***



Sewilla

Drugi rekonesans również zaczął się w Sewilli, która wyprawiła barwne, kryte wozy pątników na doroczną ferię El Rocío. Kątem oka mogłem jeszcze dostrzec uroczystości ślubne rodziny księcia Alba, przystrojoną w czerwone dywany katedrę, ponad tysiąc gości, śliczne konie, a niedługo potem pola słoneczników, pastwiska i gaje oliwkowe, wspaniały zamek warowny w Aracena. To kresy Hiszpanii i bezludzie, rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury, gdzie rodzi się odrębność. Mnożyły się ufortyfikowane miejscowości wśród dębów korkowych na szczytach górskich Cortegana, Aroche, a wszędzie bociany i chmary jaskółek. Na granicy w Ficalho napis głosił, że było jeszcze 238 km do Lizbony. Dzień był przepiękny, ciepły i pełen rozśpiewanego ptactwa. Autobus szybko dotarł do Beja po przejechaniu przez rzeką Guadianę. W Gradola postój wśród

sosen i dębów korkowych, eukaliptusów, ziemia żółta, też urodziwa. Nad wysoką basztą zamku w Alcacer du Sol latały bociany, inne brodziły na polach ryżowych, blisko już Setubal i cel wyprawy. Zobaczyłem Lizbonę w nocy, tłumy wracały do domów. Kwitnące jacarandy zlewały sie z delikatnym zmierzchem łagodnej portugalskiej nocy. W centrum znowu pamiętane budynki ukazujące egzotyczną architekturę o orientalnym smaku, miasto, symbioza rzeki i zboczy o bujnej roślinności, morze czerwieniejącej jeszcze dachówki i potężny pomnik Chrystusa błogosławiącego miasto zza rzeki. To z tego idyllicznego miejsca szły morskie zwiady na wszystkie oceany. Miasto ciche nad spodziewanie, żadnych nie było słychać klaksonów…

Nie tak łatwo było znaleźć Quinta das Romazeiras, zaszyty w zieleni dom, biały, o romantycznej nazwie, ale na bezimiennej ulicy. Kto w końcu dotrze do niego, będzie miał niespodziankę: nagle oaza polskości, serdeczność, gościnność, pamięć. Na nowo zachwycają ściany obwieszone historycznymi mapami, półki pełne książek. Bo to nie tylko świątynia polskiej literatury, ale i jej kuźnia, a mieszkańcy tego domu to nie tylko miłośnicy i kustosze, ale również pomnożyciele i propagatorzy.

To tu w 1974 roku Maria Zielińska zaczęła pisać „Szkice o literaturze emigracyjnej”. Ale temat nurtował ją już od dawna. Pierwsze ślady w druku możemy znaleźć w tekście

opublikowanym w „Kontynentach” (w numerze marzec-kwiecień 1961 roku), skróconym wykładzie „Rzut oka na literaturę emigracyjną”, przygotowanym dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Tym tekstem rozpoczęła bez mała pół wieku wiernej służby kronikarza tej literatury.

Tymi słowami zaczęła swój wykład:

> Literatura emigracyjna, której losom i obecnemu kształtowi poświęcić mam obecny wykład, jest naturalną konsekwencją wielkiej tragedii narodowej, której początkiem były wydarzenia z wczesnych godzin rannych 1-go września 1939 r.

Dalej autorka zastanawia się nad samym terminem, który należało ukuć i obronić.

Określenie „literatura emigracyjna” jest jednak doby znacznie późniejszej. Do cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu w Anglii w roku 1945, nie był w ogóle używany i mówiło się powszechnie o „literaturze Polski walczącej”, wychodząc z założenia, iż oficjalnie zachowana została ciągłość działania instytucji państwowych. Dalszy obrót wypadków sprawił, iż coraz szerzej zyskiwał obywatelstwo termin „literatura emigracyjna”, rozciągany wstecz na całokształt polskiej produkcji literackiej

poza krajem od września 1939 r. Nie jest to termin idealny czy dokładny: raczej termin umowny, powszechnie używany na określenie całokształtu piśmiennictwa polskiego poza krajem i w nielicznych tylko wypadkach kwestionowany.

Nie zawsze łatwo powiedzieć, kto solidaryzował się z emigracją. Od roku 1939 liczymy więc początki literatury emigracyjnej. Opierała się ona najprzód na czasopismach i antologiach, a w końcu na tomach poezji i prozy. Przewodzili jej pisarze już z pewnym dorobkiem, ale z czasem dorośli debiutanci, wreszcie pokolenie, które dopiero poza Polską zaczęło pisać.



Maria Danilewicz Zielińska, fot. arch. KUL.

Pani Maria zajmowała się więc tym wielkim tematem od ponad dwudziestu pięciu lat, kiedy znalazłem się w jej domu po raz drugi. Oglądając zasłużoną pracownię i podziwiając jej twórczynię, pomyślałem, że nadarzyła się rzadka szansa, by z okazji spotkania uczcić długotrwały wysiłek i nagrać rozmowę. Pani Maria była trochę zaskoczona propozycją, ale zgodziła się porozmawiać i tak powstała zaimprowizowana wymiana zdań pt „Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej”. Nagraną rozmowę zabrałem z sobą za Atlantyk i przepisałem na maszynie.

Przeszło mi także przez myśl, że zbliżało się pięćdziesięciolecie literatury polskiej poza krajem i że wpływ tak znacznego okresu czasu uzasadniał baczniejsze spojrzenie na aktywność tak wytrwałą.

Odpowiadając na moje pytania, Pani Maria przypominała, że była w pierwszym rzędzie historykiem literatury, a dopiero potem bibliotekarzem. Zaznaczyła, że termin „literatura emigracyjna” nie uważała ze ścisły, bo najpierw mieliśmy do czynienia z literaturą Polski walczącej, a następnie z literaturą wolnego słowa, z literaturą poza cenzurą.

To okres wojenny umożliwił powtórny debiut skamandrytów, których wiersze czytano z entuzjazmem. Awangarda zaś była skąpo raczej, a więc niedostatecznie reprezentowana przez Jerzego Pietrkiewicza. Dobrze zapowiadający się poeta Stefan

Borsukiewicz zginął młodo. Wielką popularność zyskały wtedy antologie twórczości żołnierskiej.

Następnie zainteresowanie zaczęli budzić młodzi twórcy: Zofia Romanowiczowa oraz Tadeusz Nowakowski. Rok 1951 to żniwo Instytutu Literackiego w Paryżu, który wraz z zeszytami „Kultury" zaczął przynosić wybitne teksty Miłosza. Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego i Mieroszewskiego. W Londynie wznowione „Wiadomości" stanowiły ośrodek życia literackiego wraz z inną prasą i wydawnictwami takimi jak, Veritas, Oficyna Poetów i Malarzy i niespodziewanym zjawiskiem: grupą poetycką, która stanowiła pewne novum na mapie emigracyjnej. Pani Maria była zdumiona pojawieniem się w kilkanaście lat po wybuchu wojny, poza Polską, grupy młodych pisarzy niewiele, albo nic nie pamiętających z dwudziestolecia, a próbujących nawiązać do polskiej tradycji kulturalnej. Z czasem zaczęli odchodzić seniorzy, upadały pisma.

Równocześnie jednak twórczość krajowa zaczęła się zazębiać z emigracyjną. Za granicą zaczęto drukować teksty powstałe w Polsce, rozbudowano wydawnictwa podziemne, powstał drugi obieg.

I tak literatura emigracyjna zaczęła ustępować literaturze wolnego słowa współtworzonego przez emigrację i kraj. Zjawisku temu, sądzi Zielińska, nie towarzyszył jednak wspólny język, co

spowodowało konflikt międzypokoleniowy.

Aczkolwiek nie życzyła sobie dożyć kresu paryskiej „Kultury" trafnie nie dostrzegała następcy wśród nowo powstających czasopism za granicą. Druga emigracja niepodległościowa miała się okazać jedyną i nie do zastąpienia przez różnych mało fortunnych uzurpatorów wywodzących się z najbardziej nieprawdopodobnych kręgów.

Kiedy wysłałem rozpisany tekst naszej spontanicznej rozmowy, otrzymałem list datowany 7 sierpnia 1988. Pisała w nim o tekście wywiadu:

> Wydał mi się interesujący, ale wymaga oszlifowania i uzupełnień po przemyśleniu ewentualnych reakcji na moje pewne osądy. Zabiorę się do tego, gdy tylko uwolnię się od terminowych zobowiązań tj. – jak myślę, w końcu sierpnia. […]
>
> Przed otrzymaniem tekstu wspomniałam Giedroyciowi o nagranym przez Pana wywiadzie i pytałam, czy by go interesował. Nie mam jeszcze odpowiedzi. Na drugim miejscu postawiłabym „Puls", „Orzeł" ma inne terms of reference i jakoś się nie rozkręca, mimo dobrych intencji grona ludzi z Walczakiem na czele.

Wygląda z powyższego, że o tym liście Pani Maria zapomniała, bo 23 września napisała następny, biadając w nim nad swoją opieszałością:

> ze wstydem konstatuję, że wysłał Pan pracowicie przepisany tekst wywiadu już 25 lipca – a ja odpowiadam po dwu miesiącach…
>
> Po odrzuceniu pierwszej wersji wywiadu doszłam do wniosku, że 1. jest zbyt długi, 2. że się rozłazi tematycznie, 3. że zawiera zbyt dużo danych informacyjno-bibliograficznych łatwiej dostępnych w „Szkicach" i „Literaturze wolnego słowa". W załączeniu wersja skrócona. Pyta Pan komu ją wysłać? Na sygnał, że wywiad taki został nagrany, Giedroyć nie zareagował – może zrozumiał, że otrzyma tekst w przyszłości i wtedy się wypowie? Gdyby nie „Kultura" to „Puls", „Kontakt" (Jacek Bierezin) ewentualnie „Pamiętnik Literacki" Garlińskiego. Z „Orłem Białym" mam złe doświadczenia – zresztą możnaby równie dobrze złożyć maszynopis do dziupli w Vancouverze….

Niebawem mogłem meldować do Portugalii w liście z 10X. 1988:

> Ogromnie się ucieszyłem otrzymawszy wczoraj poprawiony

> tekst rozmowy, bardziej zwartej i lepiej ukierunkowanej. Zrobiłem kopię i natychmiast pchnąłem ją do Giedroycia z adnotacją, by sygnalizował, jeśli nie chce drukować.

Kiedy wywiad ukazał się w numerze 1 (496) – 2(497) 1989 roku, napisałem do Feijó:

> Z wielką przyjemnością zobaczyłem w <Kulturze> wywiad, który moim zdaniem, rozlegnie się zasłużonym echem i dobrze się stało, że się do Pani wybrałem i przyczyniłem do wydobycia tej wypowiedzi na pięćdziesięciolecie. Przypuszczam, że Pani również już (ma) przyjazne sygnały. Tak więc od czytelników i od siebie dziękuję za poświęcony czas, a wiem doskonale jak z nim u Pani krucho.

Nie trzeba było długo czekać na reakcje czytelników. Na pocztówce z 6 maja 1989 roku pani Maria entuzjastycznie donosiła:

> …wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy… a nowojorski ‘Tyg.Polski’ (Julita Karkowska) i Barbara Toruńczyk życzą

> sobie mojej współpracy. Najwyraźniej wprowadza mnie Pan w świat!

Ja z kolei w liście z 30 sierpnia 1990 odpowiedziałem z dumą:

> Bardzo się cieszę, że”‘zmusiłem Panią” do tego wywiadu i tak powstał wspaniały tekst. W Polsce bez końca ukazują się konspekty, panoramy i historie literatury emigracyjnej. Trochę mnie te akcje niepokoją, bo oto pozwoliliśmy, by o tej materii pisali ludzie postronni, nie znający terenu z autopsji. Skarżył się Tadeusz Nowakowski, że np. w Wolnej Europie obsadzonej przez nowych ludzi bardzo już jest trudno cokolwiek o dawnej emigracji umieścić. Trzeba by się jeszcze zmobilizować i dorzucić do ogólnej wiedzy te elementy, które tylko nam są znane. A przynajmniej powinniśmy zostać partnerami na tym polu dociekań.



Maria Danilewicz Zielińska, fot. Archiwum Emigracji.

Pani Maria należała do osób, które żywo interesowały się emigracyjnym narybkiem literackim. Mówiła ciepło o jego wyjątkowo trudnym starcie, kalekim dzieciństwie, braku polskich szkół, wzrastaniu wśród obcego społeczeństwa. Pierwsze kroki śledziła z sympatią, zachęcała, chwaliła, broniła, nierzadko uzyskując w zamian aroganckie i obraźliwe repliki swoich pupilów.

Pamiętam, że bardzo się radowała z sukcesów debiutantów „oderwanych od elementarza” jak napisała o pamiętających wczesne lata i opisujących je piękną polszczyzną młodych. Taką pociechę znalazła w twórczości Hanny Świderskiej (ur.1930), wywiezionej na wschód w wieku 9 lat, która pod pseudonimem Janiny Kowalskiej napisała o swoich przejściach w przejmujących „Moich uniwersytetach”. Jej kolejna książka „Pogranicze” znakomicie pokazała współżycie polskich rodzin wojskowych , które osiedliły się w Walii, z zasiedziałą ludnością lokalną. Pod nazwiskiem Grażyny Nowak Świderska wydrukowała w „Kulturze” kilkanaście „Listów z Londynu” oznaczających się bystrym zmysłem obserwacji i ciętym językiem. Także „Teki Historyczne” drukowały jej prace. Sądzę, że historyczka z wykształcenia a bibliotekarka z zawodu (dłuższy staż w bibliotece British Museum), chętnie by na emeryturze myszkowała w doskonale sobie znanych archiwach brytyjskich i zasilała z pożytkiem „Teki Historyczne”, gdyby nie uciążliwe osłabienie wzroku, a także nieszczęśliwy wypadek drogowy, najechanie przez motocyklistę, który ograniczył jej mobilność.

W którymś z listów do Pani Marii wspomniałem jej wielką życzliwość dla młodych poetów londyńskich.

> Przyszedl świeży zeszyt „Kultury” i nowy dowód Pani pamięci i przychylności dla naszej grupy. A pamiętam, że

> nieraz musiała Pani czytać i słuchać wielkich głupstw wypisywanych we wczesnym okresie. Ktoś tam wymądrzał się, że Mickiewicz to żaden poeta, że „Wiadomości" zupełnie do niczego. Pisaliśmy nieraz z wyżyn małego doświadczenia i młodzieńczego zadufania. A i Pani za wyrozumiałość i stałą zachętę odpłacano nie zawsze dobrą monetą. Nie wiem, czy już jesteśmy wolni od wszystkich niedobrych nawyków, od próżności podbijania własnego bębenka, sitw celem windowania siebie, jakby nie wierząc w wartość samej twórczości... Bo czy potrzebny jest hałas wokół dobrego dzieła? Ale może to, co mówię odnosi się do idealnych układów, a w życiu któż chce odwoływać się do „późnego wnuka".

W ostatnim do mnie liście, już po fatalnym pożarze, o którym nawet nie wzmiankuje, wyznaje *"Londyn wspominam z mieszanymi uczuciami"* i choć dalej autorka mówi tylko o wytężonej pracy bibliotecznej, wtajemniczeni pamiętają, że wyjazd z Anglii ciężko przeżyła. Ostatecznie zdecydowała o nim narastająca animozja niektórych członków zarządu POSK-u i ustawiczne nieporozumienia z Radą Biblioteczną, z którą musiała wiecznie wojować, stojąc na straży interesów Biblioteki Polskiej.

Zamieszkawszy trochę na uboczu w Portugalii, nie była dosłownie odcięta od świata. Z początku bywały wyjazdy za

granicę, do Londynu czy Szwajcarii, do Paryża. Były ciągłe wizyty ludzi z Polski i ekip telewizyjnych. W roku 1993 tryumfalnie doniosła: *„W maju był oficjalnie Wałęsa – rozmawiałam z nim…o gwarze naszych wspólnych stron rodzinnych, Kujaw! Hear, hear!…”*

Ale z czasem, po śmierci męża i uciążliwych przypadłościach choroby i starości, słowa samotnia i pustelnia zaczęły nabierać właściwej, okrutnej wymowy. Na parę lat przed śmiercią feralny pożar domu i niepowetowana strata książek i listów wstrząsnęły nią okrutnie. Wyglądała na próżno przyjaciół. Kurtuazyjne zwroty powtarzane w listach: *„Dużo czasu upłynęło od naszego spotkania w Portugalii i myślę, że w tym roku wybierze się Pan znowu do Hiszpanii i przy okazji zawadzi o nasz ermitaż”* czy *„Wzdycham, by w drodze powrotnej do Kanady wypadł Panu przystanek w Lizbonie i serdecznie do Romazeiras zapraszam”*, brzmią dziś nie jak okolicznościowe uprzejmości, ale jak rozpaczliwe wołania człowieka-emigranta skazanego na życie bez ludzi. Jeszcze teraz przejmująco brzmi zaproszenie do Feijó, *„gdzie jest Pan zawsze najmilej widziany. Tkwię tu kamieniem, zawsze obecna”.*

Literackie światy Piotra Guzego

Marcelina Janisz

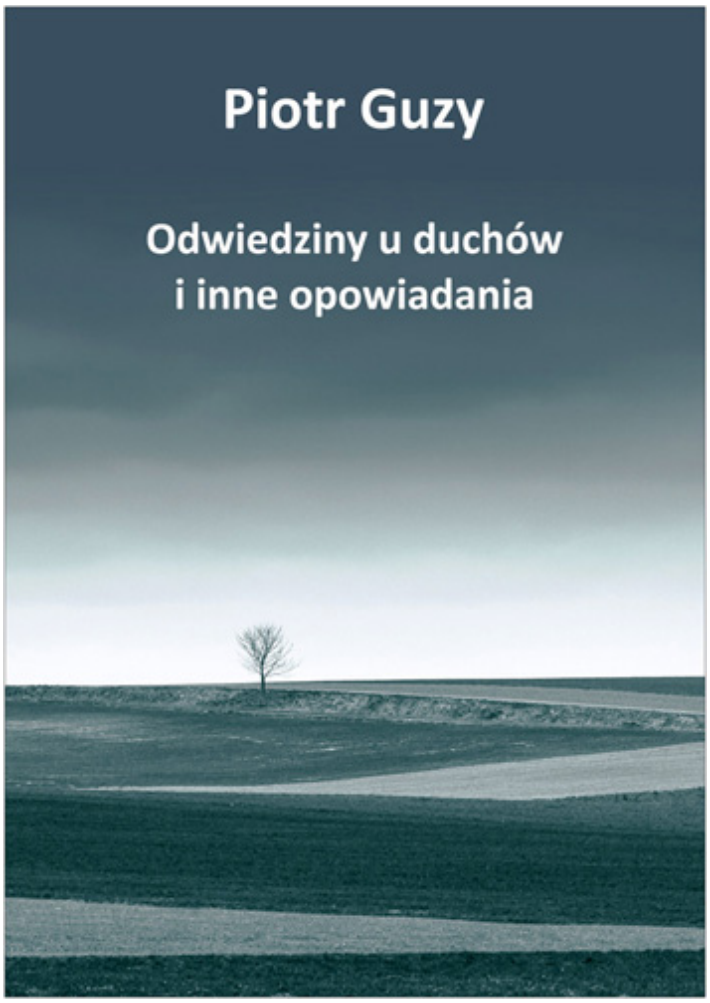
W 2015 roku nakładem opolskiego wydawnictwa „Nowik” zostały wydane trzy książki Piotra Guzego: zbiór opowiadań *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania, Krótki żywot bohatera pozytywnego* oraz *Stan wyjątkowy,* a w 2016 wznowiono powieści *Zwidy na wysokościach* oraz *Requiem dla pani Tosi*. Autor w wieku 94 lat postanowił jeszcze raz przypomnieć o swojej prozie w Polsce, wznawiając edycję swoich utworów w jednym wydawnictwie, tworząc w ten sposób zamkniętą całość. Warto w tym kontekście przypomnieć jego twórczość prozatorską, która nie doczekała się szerszych i całościowych badań oraz opracowań.

Proza Guzego dojrzewała i przekształcała się wraz z rzeczywistością, stawała się wielowymiarowa i nieprzeciętna. Problematyka utworów pisarza wyrasta częściowo z jego

biografii – doświadczeń wojennych i życia w Polsce w okresie stalinowskim. Jednak to perspektywa emigranta stała się przełomowa w pisarstwie Guzego, owocując niezależnością sądów i pogłębieniem warstwy refleksyjnej. Pisarz stawia gorzkie diagnozy człowieka i zniewolonej ideologicznie ojczyzny.

Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 roku w miejscowości Zawadzkie na Śląsku Opolskim. Jego ojciec Juliusz Guzy pracował jako urzędnik pocztowy. Przyszły pisarz uczył się w Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Księcia Jana Opolskiego oraz w Liceum Pedagogicznym w Tarnowskich Górach. Podczas II wojny światowej przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do wojska polskiego, formowanego przez gen. Władysława Sikorskiego. Po kapitulacji Francji latem 1940 roku znalazł się w Anglii, gdzie dołączył do tworzonej tam polskiej Brygady Pancernej gen. Stanisława Maczka. Służył w Pułku Lekkiej Artylerii Przeciwlotniczej, stacjonującej w Szkocji. W 1944 roku został poważnie ranny w walkach pod Bredą w Holandii. Po rekonwalescencji w angielskim szpitalu postanowił studiować ekonomię oraz nauki polityczne i w 1946 rozpoczął naukę na Uniwersytecie Londyńskim. W Anglii ożenił się z Ishbel Frances Reynolds. W 1949 roku postanowił powrócić do Polski, w rodzinne strony, do Tarnowskich Gór. Pracował w spółdzielni spożywców i kontynuował studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, uzyskując stopień magistra w zakresie nauk ekonomiczno-politycznych.

W 1952 roku zadebiutował opowiadaniem *Jędraszkowie*, które opublikowane zostało w piśmie „Nowy Świat". Współpracował także z „Gazetą Poznańską" i „Tygodnikiem Zachodnim", w którym prowadził przegląd niektórych periodyków angielskich i amerykańskich pod wspólnym tytułem *Na Zachodzie*. W połowie lat 50. XX wieku opublikował w kraju cztery powieści o tematyce kryminalnej, szpiegowskiej i sensacyjnej: *Następny odchodzi 22:25* (1955); *Nocny zrzut* (1955); *Cienie na gwiazdach* (1956)[1] i *Wenus z brązu* (1956). W tym czasie dojrzewała w nim decyzja o ponownej emigracji. W roku 1957 zdołał przedostać się z rodziną przez Berlin do Anglii, gdzie zamieszkał w Leicester. Początkowo pracował w biurach miejskiej gazowni, po roku otrzymał pracę w monitoringu radiowym BBC w Reading, w hrabstwie Berskshire. W 1968 roku zaproponowano mu stanowisko redaktora w Rozgłośni Radio Wolna Europa w Monachium. Podjął także współpracę z pismami „Kultura" i „Wiadomości", w których publikował teksty literackie, artykuły i recenzje. Poza krajem ukazały się jego najbardziej znane powieści: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (1966) oraz *Stan wyjątkowy* (1968). Oba utwory zostały nagrodzone i wyróżnione przez literackie środowiska emigracyjne – za *Krótki żywot bohatera pozytywnego* otrzymał nagrodę paryskiej „Kultury", zaś *Stan wyjątkowy* uhonorowano nagrodą „Wiadomości". Jeszcze dwukrotnie – w 1972 i 1973 roku – był nagradzany przez londyńskie pismo za utwory drukowane na jego łamach.


Piotr Guzy
Odwiedziny u duchów
i inne opowiadania



W 1977 roku Guzy wyjechał do Hiszpanii. Napisał i opublikował jeszcze trzy powieści: *Wielkie nieszczęście* (wydaną we fragmentach w 1983 roku); *Requiem dla pani Tosi* (1990) oraz *Zwidy na wysokościach* (1994). Obecnie mieszka w Daimuz i nadal zajmuje się literaturą oraz pisarstwem. W kraju jego opowiadania ukazały się na łamach „Zeszytów Literackich". W wywiadzie *Musiałem wyjąć z szafy trupa i go pogrzebać* z 2000 roku, który ukazał się w miesięczniku „Śląsk" (2000, nr 2), pisarz wspominał o swoich dalszych planach literackich:

> W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Literackich"

> opublikowałem fragment jednego z opowiadań, nad którym teraz pracuję. W poprzednich książkach musiałem z siebie wyrzucić okropności powojennych doświadczeń z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, opowiedzieć o swoich odczuciach. Musiałem wreszcie wyjąć z szafy tego trupa i ostatecznie go pogrzebać […], na szczęście te opowiadania dotykają innego świata przeżyć.

Gorącym orędownikiem ponownego odkrycia Piotra Guzego i odczytania na nowo jego prozy, jest Florian Śmieja, który pragnie znaleźć dla niego godne miejsce w historii literatury polskiej. Jego twórczość już wcześniej zwróciła uwagę znawców literatury emigracyjnej – Marii Danilewicz Zielińskiej, która tak charakteryzowała dwie emigracyjne powieści pisarza:

> Obie powieści Guzego dopełniają się i nieważna jest w nich fabuła, zresztą konsekwentnie obmyślana i przeprowadzona, ale odtworzenie tego, co Broński określił w recenzji książek Guzego jako „zdyszany bełkot" ludzi zaszczutych, przerażonych czy bez ratunku zagubionych w labiryntach „stanu wyjątkowego

oraz Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który nazwał Guzego pisarzem *„o wielkim talencie*".

Twórczość Guzego dzieli się na dwa okresy: krajowy i emigracyjny. Debiutował on powieściami o charakterze popularnym; nie mógł w nich jednak pisać o ważnych dla siebie tematach i wyrażać krytycznych poglądów na krajową rzeczywistość. Dopiero emigracja dała mu możliwość rozwinięcia skrzydeł. Powieści tam pisane są dojrzalsze, osadzone w konkretnej rzeczywistości. Guzy stworzył bohatera, który zmaga się z własnymi słabościami, rzeczywistością komunizmu, naciskami władzy. Postacie mają pogłębione rysy psychologiczne, a poruszane tematy nawiązują do aktualnych wydarzeń w Polsce i na świecie.

Szczególnie ważny w twórczości Guzego jest cykl powieści o Polsce lat 50. i 60. XX wieku, który tworzą w zamierzeniu autora utwory: *Krótki żywot bohatera pozytywnego, Stan wyjątkowy, Requiem dla pani Tosi* i *Zwidy na wysokościach*. Ich bohaterami są emigranci, agenci służby bezpieczeństwa, milicjanci i ubecy – ludzie, na których ciąży przeszłość. Charakteryzuje ich zniewolenie psychiczne i utrata wolności – są trybami w bezwzględnej machnie komunistycznego systemu. Autor uczciwie rozlicza się z przeszłością, ale pisze o niej ironicznie, z karykaturalnym przerysowaniem. Opowieści o PRL-u przeplatają się ze wspomnieniami czasu wojny. Bohaterowie Guzego są zwykle naznaczeni wojennymi traumami, przeszłość nie jest dla nich okresem zamkniętym i zapomnianym, ale wpływa na teraźniejszość, determinując także życie codzienne.

Taką „podwójną” rzeczywistość pisarz przedstawił w powieści *Stan wyjątkowy*, która opowiada o polskiej rodzinie, starającej się po wojnie ułożyć sobie życie w kraju. Egzotyczny świat PRL-u inspirował wielu pisarzy, czego przykładem są książki Leopolda Tyrmanda *Zły* i *Dziennik 1954* oraz powieść Stefana Kisielewskiego *Śledztwo*. Na emigracji w krzywym zwierciadle ukazywał działalność agentów Urzędu Bezpieczeństwa Czesław Straszewicz w drugiej części powieści *Turyści z bocianich gniazd*, zatytułowanej *Kociołek na Ziemowita. Stan wyjątkowy* Guzego składa się z czterech części. Ich bohaterami są przedstawiciele kilku pokoleń Polaków, którzy przeżyli II wojnę światową. Każdy z nich opowiada swoją historię. Pojawia się stara matka, która podczas wojny straciła bliskich i szuka ukochanego syna Jerzego, a także mąż poszukujący zaginionej żony, więźniarki obozu koncentracyjnego. Kolejne części nawiązują do poprzednich – pojawia się zaginiony Jerzy – więziony w okresie stalinowskim, który po październikowej amnestii wychodzi na wolność. Wyjaśnia się wojenna przeszłość zaginionej żony, której tragiczną przeszłość odkrywa córka Wanda.

Narracja powieści ma formę strumienia świadomości – wspomnienia i myśli bohaterów przeplatają się z przeżywaniem przez nich teraźniejszości. Jak w sennym koszmarze nieustannie powracają w nich dramatyczne wojenne zdarzenia: śmierć bliskich i własne cierpienia. Powtarzające się, fragmentaryczne

obrazy ilustrują stany psychologiczne bohaterów. Autor podkreśla, że o wojnie nie można zapomnieć, ciągle żyje w tych, którzy ją przeżyli, staje się ich integralną częścią, prześladowczym demonem, zakorzenionym głęboko w podświadomości. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1947–1966, czyli obejmuje okres formowania się i umacniania się w Polsce systemu komunistycznego.


Zmagania z wojenną przeszłością – tym razem ze zbrodnią katyńską i jej konsekwencjami dla życia bohaterów – są tematem powieści *Requiem dla pani Tosi*. Tytułowa postać jest wdową po zamordowanym w Katyniu oficerze. Pracuje w Londynie w Ośrodku Badań Spraw Polskich. Jest szantażowana przez komunistycznych agentów, którzy, grożąc skrzywdzeniem jej bliskich, zmuszają ją do współpracy. W powieści w sposób wielostronny podjęty został motyw zdrady (małżeńskiej, bliskich, ojczyzny). Pisarz przekonująco przedstawił stan osaczenia przez agentów, którzy imają się wszelkich sposobów, by pozbawić kobietę wolnej woli, poczucia bezpieczeństwa i zmusić do zachowań, które są sprzeczne z jej etycznymi zasadami i patriotycznym kodeksem.

Innym tematem, który pasjonuje Piotra Guzego, jest wiwisekcja relacji między kobietami i mężczyznami. Przedstawia je zazwyczaj bardzo pesymistycznie, jako krótkotrwałe związki, oparte wyłącznie na erotycznym pożądaniu. Eksponuje także

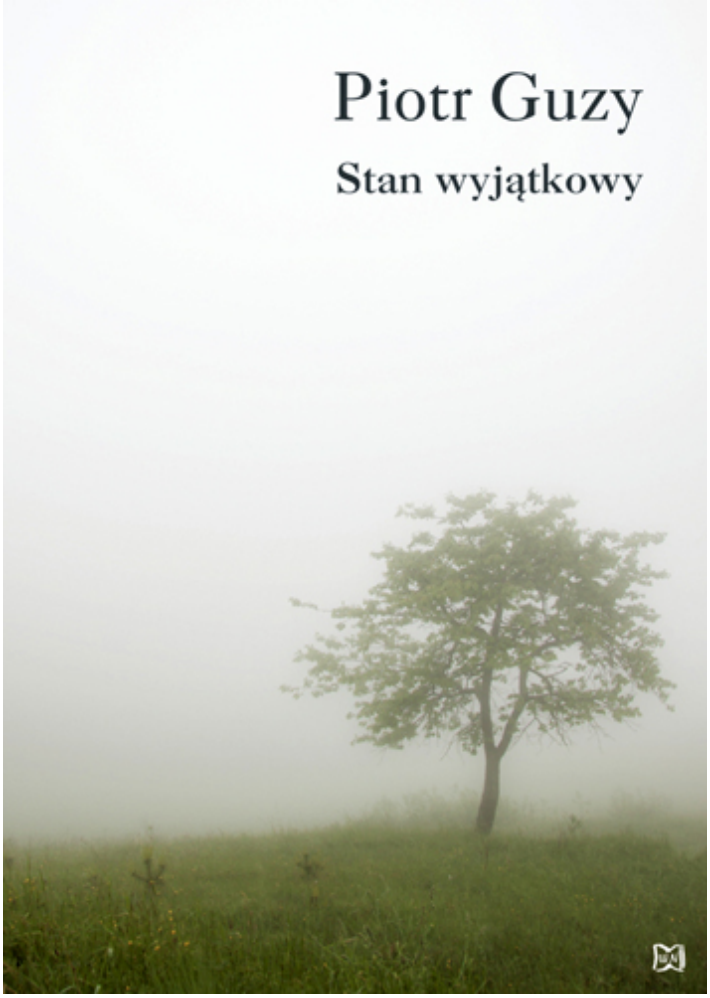
motyw zdrady i jej destrukcyjnych konsekwencji (np. zabójstw i samobójstw bohaterów).

W przedstawionym przez Guzego, skażonym przez zbrodniczą ideologię świecie, w którym relacje międzyludzkie opierają się na strachu, nieufności i kłamstwie, nie ma miejsca na szczęśliwą miłość, czy bezinteresowną przyjaźń. Nikt nie czuje się bezpieczny, ukrywa swoją prawdziwą tożsamość, ponieważ każdy może zdradzić. Polityka władzy komunistycznej jest toksyczna w każdym wymiarze życia.

Piotr Guzy jest także autorem kilku opowiadań, które – jak wspomniałam – ukazywały się na łamach „Zeszytów Literackich" (*Będziesz miłował kata swego ; Że ona jest, że w ogóle jest ;Wstyd ; Odwiedziny u duchów* i *Ostatnia posługa*). Także w krótkich formach prozatorskich pisarz porusza problem zmagań człowieka z demonami „złej" (wojennej i komunistycznej) przeszłości. W opowiadaniach *Ostatnia posługa* i *Odwiedziny u duchów* bohaterami są polscy emigranci, mieszkający w Hiszpanii, których przypadek stawia przed wyzwaniem zmierzenia się z przeszłością. Bohater *Ostatniej posługi* po wielu latach spotyka człowieka, który, kiedy on był w latach stalinowskich więziony, uwiódł jego żonę i odebrał rodzinę. Budzi się w nim chęć zemsty, postrzega śmierć dawnego kata jako swoiste zadośćuczynienie. W opowiadaniu pojawia się także wątek autotematyczny. Wnuczka bohatera, polonistka i

doktorantka zajmująca się literaturą emigracyjną, gorzko ale i szczerze diagnozuje panoramę pisarzy na obczyźnie, która przeważnie koncentruje się na centralnych i znanych nazwiskach:

> Literatura emigracyjna. […] na razie u nas jest tak, że krytycy i badacze zajmują się czterema czy pięcioma nazwiskami, zawsze tymi samymi, reszta leży odłogiem na święte nigdy, a ja chciałabym w mojej pracy dać szerszą panoramę, wydobyć na wierzch innych pisarzy, a jest ich sporo, i włączyć ich w ogólny obraz naszej literatury (s.44).


Piotr Guzy
Stan wyjątkowy



W opowiadaniu *Odwiedziny u duchów* pisarz mierzy się z trudnym problemem polskiego antysemityzmu. Emigrant odwiedza rodzinną wieś i przypomina mu się niechlubny epizod z przeszłości, którego był świadkiem – grabież pożydowskiego mienia przez współmieszkańców, w tym także jego ojca. Złe uczynki zostają ukarane; sprawiedliwość wymierza przeznaczenie. Zagrabiony majątek staje się przekleństwem dla mieszkańców wsi i ojca bohatera. W opowiadaniu pisarz podejmuje także problem trudnych relacji między synem i ojcem. We wspomnieniach bohatera, surowy dla rodziny, patriarchalny ojciec, korzy się przed niemieckim żołnierzem, co w oczach syna

jest znakiem tchórzostwa, poddania się. Od tego momentu ojciec przestaje być dla niego wzorem.

Literatura staje się również miejscem dokonania osobistego rachunku sumienia. W opowiadaniu *Wstyd* bohater, który jest pisarzem, wspomina dawną, opublikowaną w kraju powieść, *Lot w księżycową noc.* Pod tym tytułem kryje się napisana przez Guzego w okresie socrealizmu książka *Nocny zrzut.* Narrator ma odwagę przyznać się, że publikując ją popełnił błąd:

> To była wredna książka…, pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelników utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, mówiła, że inaczej już nie będzie, tylko się z tym pogodzić (s.27).

Rysy autobiograficzne ma także bohater opowiadania *Biedna Lilo*, który jest pisarzem-emigrantem, pochodzącym z Tarnowskich Gór. Tytułowa Lilo nosi w sobie bolesną wojenną przeszłość, która z upływem czasu nie zaciera się w pamięci, a powraca z wielką wyrazistością, zaś wehikułem, uruchamiającym proces wspominania, mogą być zwykłe zdarzenia, np. widok ognia.

Motyw spowiedzi z życia, wyznania grzechów z przeszłości

pojawia się także w opowiadaniu *„Będziesz miłował kata swego”!* Główny bohater zwierza się przyjacielowi, że po powrocie z emigracji do Polski, został zwerbowany do współpracy przez służbę bezpieczeństwa. Postrzega siebie jako ofiarą reżimu, usprawiedliwia przed samym sobą i przyjacielem. Nie potrafił jednak zerwać współpracy z bezpieką, nie dostrzegał, że kierowała nim także chęć łatwego zysku, a wizja materialnej stabilizacji przesłaniała zło, które wniknęło w jego życie. Wyznanie nie przynosi głównemu bohaterowi ekspiacji, ale, być może, pozwala mu zrozumieć, na czym polegała jego prawdziwa wina. Za swoje niegodne postępowanie zapłaci utratą zaufania przyjaciela i zniszczeniem wieloletniej przyjaźni.

Przedstawione tu uwagi stanowią zaledwie wstęp do szerszego opracowania twórczości Piotra Guzego, który jest autorem o ogromnej woli tworzenia, oferującym czytelnikom dobrą i wartościową prozę. Jej atutami są: wnikliwa wiwisekcja ambiwalentnych zachowań człowieka i słabości jego natury w obliczu konieczności moralnych wyborów, autentyczność w kreowaniu postaci i społeczno-obyczajowo-politycznego tła wydarzeń, uparte powracanie do trudnych dla Polaków tematów stanowiących niejednokrotnie sferę tabu (antysemityzm, komunistyczna działalność), przypominanie o niechlubnej przeszłości w imię dociekania prawdy i podkreślanie znaczenia uniwersalnych wartościach w życiu człowieka.

Autor ma czytelnikom do opowiedzenia jeszcze wiele interesujących historii. Mam nadzieję, że jego twórczość znajdzie godne miejsce w historii literatury polskiej XX wieku.

[1] Powieść ta ma adaptację teatralną, zatytułowaną *Prowokacja.*

Babcia Lena skacze z Giewontu

Zakopane, Dolne Krupówki, lata dwudzieste XX wieku.

Romuald „Aldek” Roman

Zazwyczaj, gdy poznajemy ludzi w wieku dojrzałym, nie przychodzi nam do głowy, że ci poważni, nobliwi panowie i panie byli w młodości jeszcze bardziej zwariowani niż my, gdy byliśmy w ich wieku. A tak często bywało, a już szczególnie, gdy mamy do czynienia z pokoleniem Woodstocku, czyli niegdysiejszymi

hipisami, teraz będącymi sześćdziesięciolatkami na stanowiskach lub, jeszcze częściej, emerytami, którzy robią wszystko, by nikt ani przez chwilę nie pomyślał, że czterdzieści lat temu palili trawę. A przecież oni tacy byli. Słuchali Jimmy'ego Hendrixa i nie bali się AIDS, bo wtedy go jeszcze nie było. Nie bali się klechów, bo Kościół siedział pod miotłą komuny, więc kochali się na prawo i lewo, i z wyjątkiem podwyższonego przyrostu naturalnego kochanie to nie miało żadnych niepożądanych konsekwencji.

Tak sprawa wygląda z moim pokoleniem. Ale czy na początku XX wieku, trzy pokolenia przede mną, gdy panie nosiły gorsety, a panowie odkryli narty i jeździli z jednym kijkiem, łatwiej im było powstrzymywać się od wybryków? Ależ nie! Oni żyli z fantazją co najmniej równą naszej. A wśród tych panów z wąsikami i pań w kapeluszach z piórami trafiały się takie osoby, że gdy po stu latach pra-pra-prawnuki czytają o ich wyczynach, łapią się za głowę. Posłuchajcie, proszę, o mojej pięknej babci Lenie Roman-Dzieduszyckiej.

Mój dziadek, wielki lwowski aktor Władysław Roman, zmarł w 1904 roku, zostawiając młodziutką żonę i dwoje małych dzieci: Mieczka i Janeczkę. Mieczko to mój ojciec, „bohater dziejowy" (przezwisko nadane mu złośliwie przez teściową), a Janeczka to późniejsza sławna aktorka Janina Romanówna, czyli moja ukochana ciocia Janeczka. Zapłakana wdowa, Lena Roman, to

moja babcia, którą spotkacie też w innych opowiadaniach.

Jest rok 1908. Lena Roman dosłownie staje na głowie, by osiągnąć trzy życiowe cele: znaleźć drugiego męża, najlepiej z tytułem, jakiegoś księcia lub przynajmniej hrabiego, zdobyć pieniądze oraz sławę. Oczywiście najlepiej byłoby osiągnąć wszystkie trzy cele równocześnie, więc Lena dwoi się i troi, i walczy na wszystkich trzech frontach. Najpierw pozbywa się kłopotów z dziećmi, oddając je na wychowanie matce męża, a potem, o ile tylko było to możliwe, wysyłając je do prywatnych szkół.

Gdy to jej się udało, Lena, już wolna jak panienka, próbuje wykorzystać nazwisko i pamięć o mężu i… zostać aktorką. Przyjmują ją na próbę do teatru Fredry (dziś Słowackiego) w Krakowie i dają do grania ogony, role w rodzaju „Panie hrabio, czy można zapodać zupę?". To jest dla Leny afront, bo skoro jej mąż grał Jaśka w Krakowskiej premierze *Wesela*, to ona żadnych zup nosiła nie będzie. Dla niej Ofelie i Julie, a nie jakieś tam kuchenne kocmołuchy. Tymczasem, żeby grać Ofelię, trzeba być Wysocką, Solską, Przybyłko-Potocką albo przynajmniej kochanką dyrektora. A Lena nic. Inne panie albo miały większy talent, albo były pierwsze w kolejce przed drzwiami dyrektorskiej sypialni. Tak więc z pójścia w ślady nieboszczyka męża nic nie wyszło.

Niezrażona Lena walczy więc, by wyrobić sobie nazwisko w literaturze. Próbuje publikować w lwowskiej prasie smutne wiersze miłosne pełne dźwięcznych częstochowskich rymów. Wszyscy wtedy tak pisali, jedni trochę lepiej, jak Asnyk, inni trochę gorzej, jak Konopnicka, styl Leny nie różnił się więc specjalnie od stylu reszty grafomanów i jej wiersze były od czasu do czasu publikowane i zatykały puste miejsca w galicyjskich gazetach.

To jednak nie było to, o co Lenie chodziło. Zawiódł ją teatr, bo w czasie dwóch lat, gdy próbowała grać, tańczyć i śpiewać, nie tylko nie została gwiazdą, lecz jeszcze zdążyła pokłócić się z wieloma ważnymi osobami. Pisanie też odłożyła na bok, obiecując sobie, że jeszcze stworzy kilka powieści i wtedy dopiero da się poznać światu. Tu dodam, że powróciła do tego zamierzenia w latach dwudziestych i jej kilkusetstronicowa powieść *Tajemnica Pałacu Dożów*, pełna duchów i zbrodni, przetrwała do dziś w mojej szufladzie wśród rodzinnych papierów.

Pozostała ostatnia, najważniejsza i najtrudniejsza część planu – znalezienie męża. Początkowo miała nadzieję, że mąż trafi się sam, zwabiony jej urodą i… aurą nieszczęścia. Przekonała się jednak szybko, że o inne niż „biedna zapłakana wdowa” nieszczęście tu chodzi, bowiem zapłakanych wdów z dziećmi, na dodatek bez pieniędzy, potencjalni mężowie unikają jak ognia. O

nie! Na wdowę żaden, nawet najgłupszy baron, nie da się złapać. Nieszczęśliwe piękności, jeśli chcą być ratowane przez rycerzy, muszą stworzyć taką sytuację, że cały świat wie o ich urodzie, a rycerz gotów jest narazić się na niebezpieczeństwo, by zdobyć kochaną. W tym celu musi uratować drżącą dziewicę z paszczy lwa, a jeszcze lepiej smoka, walczyć z czarownicą, a nawet, jeśli trzeba, zamienić się w żabę.

Babcia Lena wymyśliła, że wielu potencjalnych absztyfikantów przyjeżdża do Zakopanego i udaje, że wybiera się w góry. Większość jednak w góry nie idzie, bo ląduje w kawiarni. Siedzą tam, palą, piją koniaczki i… plotkują o górach. Z Krakowa do Zakopanego kilometrów sto. Dojechać łatwo, bo kursuje pociąg. Lena zaprosiła na wakacje, jako przyzwoitkę, swoją siostrę Wandę, po czym wynajęła na dwa letnie miesiące willę w pobliżu sanatorium doktora Chramca.

Polowanie się zaczęło.

Ponętna Lena spacerowała z parasolką po Krupówkach (tak, wtedy Krupówki również nazywały się Krupówki), piła w kawiarniach kawusię i gorącą czekoladę, słuchała koncertów, poznawała pensjonariuszy i letników, lecz żaden poważny kandydat na męża się nie trafiał. Ot, jakiś tam skrzypek, jakiś urzędnik gubernialny, kupiec z Warszawy. Ale przecież nie o to chodzi! Lena szukała grubej ryby, a nie płotek. Od czego jednak

miała twórczy rozum? Choć starannie ukryty pod wielkim kapeluszem i piękną fryzurą, działał sprawnie i zdolny był wygenerować pomysły godne Machiavellego. Lena postanowiła zrobić z siebie ofiarę: zginąć tragicznie w górach. Właśnie teraz, gdy jest piękna, utalentowana, pełna życia… Ale zginąć tak, by wstrząsnęło to Zakopanem: skoczyć z Giewontu! Teraz oddam głos prasie krakowskiej z początków sierpnia 1908 roku:

Z kraju

Tragiczna śmierć artystki w Zakopanem

Z Zakopanego otrzymujemy dzisiaj wstrząsającą wiadomość, która i w Krakowie niewątpliwie wywrze przygnębiające wrażenie, ze względu na osoby tragedyi, dobrze znane w artystycznych kołach naszego miasta.

Oto przed paroma dniami r u n ę ł a w p r z e p a ś ć z Giewontu, z a b i j a j ą c s i ę n a m i e j s c u, artystka teatru miejskiego we Lwowie, wdowa po znakomitym artyście ś.p. Władysławie Romanie. — Towarzyszący jej na tej nieszczęsnej wycieczce znany muzyk i kompozytor Robert Poselt, chcąc ratować p. Romanową, sam także spadł w przepaść i odniósł liczne, ciężkie obrażenia na całem ciele.

Szczegóły katastrofy przedstawiają się w następujący sposób: Między kuracyuszami i letnikami, bawiącymi obecnie w Zakopanem, przebywała także p. Lena Romanowa z siostrą swą Wandą. Obydwie siostry wybrały się przed paru dniami w towarzystwie p. Romana Poselta na wycieczkę na szczyt Giewontu. Skutkiem nieostrożności p. Romanowej, która, jakby z rozmysłem wybierała najniebezpieczniejsze urwiska na skale, usunęła się jej w jednem miejscu ziemia z pod stóp, a młoda kobieta w jednej chwili zniknęła w przepaści, znajdując straszną śmierć, szarpana i rozbijana o ostre złomy skał. Towarzysz nieszczęsnej, p. Poselt, chcąc ją ratować, także runął w przepaść i cudem tylko ocalał od śmierci, doznał jednak tak ciężkich obrażeń na całem ciele, iż nieprzytomnego przewieziono go do Zakopanego, gdzie u łoża jego zgromadzili się natychmiast lekarze. — P. Poselt oprócz wielu innych ran doznał z ł a m a n i a s z c z ę k i.

Siostra ś. p. Romanowej, Wanda, ocalała, gdyż w chwili runięcia w przepaść obojga znajdowała się o kilka kroków dalej.

Poselt zamierzał dać w Zakopanem w tych dniach koncert, zdaje się jednak, że o ile znakomitemu skrzypkowi nie grozi zupełne kalectwo, dłuższy czas nie będzie mógł oddawać się swej sztuce.

O ś.p. Romanowej opowiadają, że stosunki teatralne, oraz zwątpienie w swój talent, popchnęły ją do rozpaczliwego kroku,

bo od dłuższego już czasu planowała tą straszną wycieczkę – napomykając o swej bliskiej śmierci i.t.p.

Miarodajne czynniki Zakopanego starały się okropny ten wypadek utrzymać w tajemnicy, by nie szerzyć popłochu wśród gości zakopiańskich, tajemnica jednak długo utrzymać się nie dała i obecnie cały ogół kuracyuszów i letników do głębi przejęty katastrofą, ma ją niemal za jedyny temat rozmów i opowiadań.

Lena dopięła swego! Wiadomość o jej śmierci została powtórzona przez prasę lwowską, a nawet wiedeńską! Po czym, parę dni później, sensacja:

Śmierć na Giewoncie?

Przyczynek do dziejów mistyfikacyi

——

(Od naszego korespondenta).

Zako
pane, 18 sierpnia

Dzienniki krakowskie, które tu nadeszły dziś rano z wiadomościami o „ś m i e r c i n a G i e w o n c i e”, wywołały

zupełnie zrozumiale poruszenie. Donosiły bowiem o zabiciu się pani Leny Romanowej, artystki teatru lwowskiego, wdowy po nieodżałowanej pamięci ś. p. Władysławie Romanie i poważnem kalectwie artysty-skrzypka p. Poselta. Oboje mieli spaść podczas wycieczki z Giewontu. Dzienniki przechodziły z rąk do rąk, w kawiarniach i pensyonatach, fakt ten stanowił główny temat rozmów licznych, bawiących tu letników i kuracyuszów. Z obowiązku poszedłem na miasto, aby zasięgnąć bliższych informacyj.

Wpadam najpierw do wszystkowiedzącego p. Płonki. Przeczytawszy informacje dzienników, zawołał:

– Panie, to wszytko nieprawda! P. Poselt mieszka u mnie, jadł przed chwilą śniadanie i jest zdrowiutki jak ryba.

– A może przecież coś się stało?

– Zupełnie nic. Przecież w moim domu mieści się „klimatyka”, setki gości przewija się przez mój lokal, wiedziałbym więc coś o tym, gdyby zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Wiem tylko tyle, że p. Poselt spadł przed dwoma tygodniami z roweru i potłukł się trochę, ale jest już obecnie zupełnie zdrów . Niech pan przejdzie zresztą do p. Poselta, mieszka u mnie na pierwszym piętrze pod nrem 4.

[Zatarty fragment].

Przez Marszałkowską udałem się na Chramcówki. W pobliżu zakładu dra Chramca, vis -a-vis willi „Czarny Staw”, stoi mała, niepozorna willa „Kosówka”. Tę willę dzierżawi pani Lena Romanowa.

Wchodzę i zastaję tam jednego z młodych literatów krakowskich, który natychmiast przypada do mnie i zapytuje, kto mógł tak poważne dzienniki jak „Słowo Polskie” i „N. Reformę” ubrać w fałszywą informację. W odpowiedzi wzruszam ramionami, gdy wchodzi młoda, smukła, bardzo przystojna kobieta, której, jako pani Michalinie Romanowej, przedstawia mnie mój interlokutor.

Pani Romanowa jest w najwyższym stopniu znękana zaszłą mistyfikacją, o której na pół godziny przed moim przybyciem się dowiedziała.

– Kto to mógł zrobić? Kto pozwolił sobie na tak złośliwy żart? Jestem ośmieszoną. Nie będę mogła się teraz nigdzie pokazać.

Uspokajam jak mogę, p. Romanowa nie może jednak przyjść do siebie. Ciągle powtarza: „Kto to mógł zrobić?”. Na moją uwagę, że ktoś, komu zależało na puszczeniu w świat tej nieprawdy, musiał w liście podpisać kogoś wybitnego, inaczejby redakcya nie uwierzyła informacyi – stoi bezradna, nie wie, co o tym

myśleć.

W tej chwili wchodzi panna Wanda, siostra p. Romanowej, która podczas rzekomego wypadku na Giewoncie jedyna ocaleć miała, i przynosi dzienniki, po które siostra ją posłała. Pani Romanowa jest jednak tak zdenerwowaną, że nawet odczytać artykułu nie mogła.

***

Należałoby zdemaskować autora tego złośliwego i głupiego żartu.

Z.R.

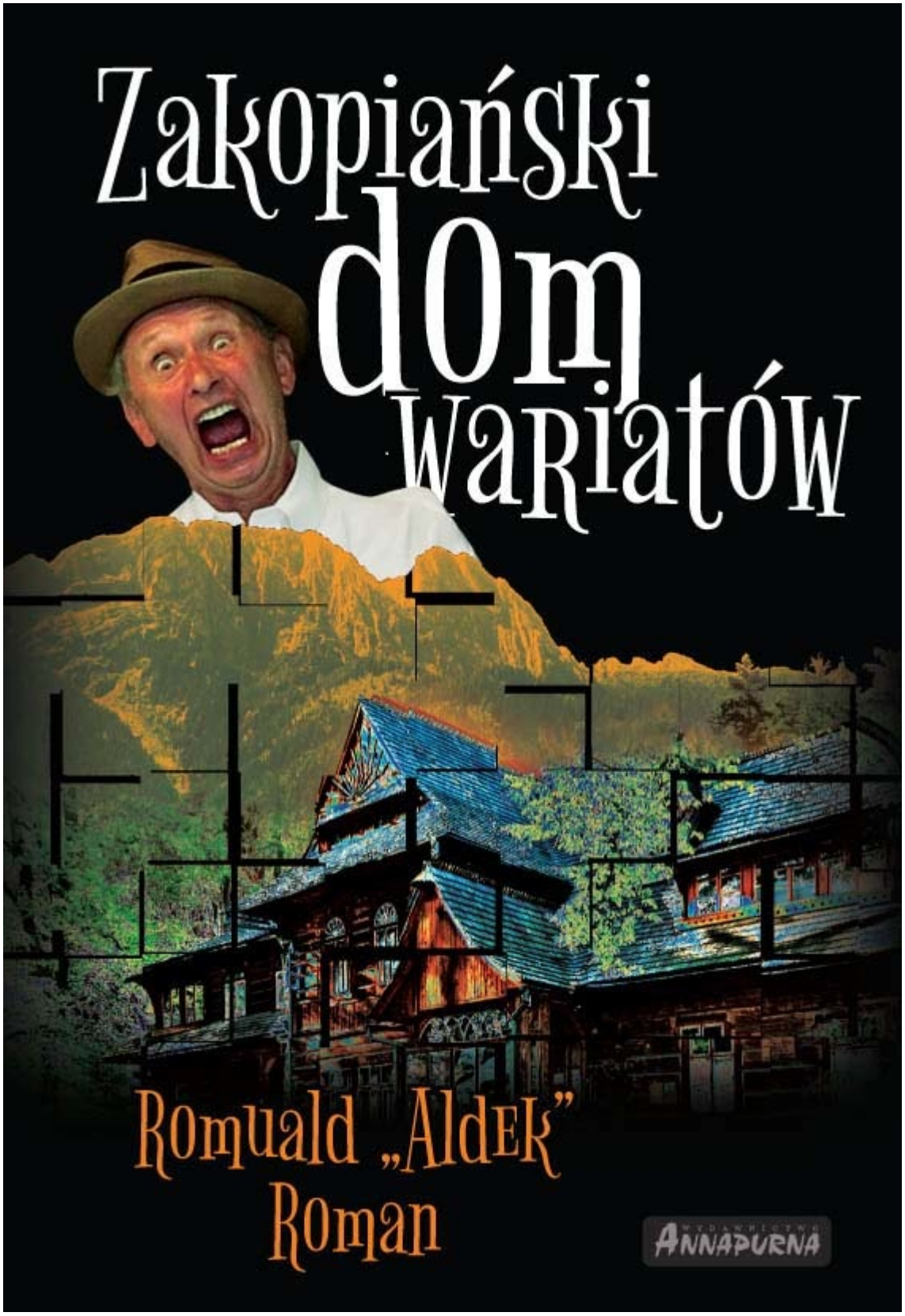
Nikogo jednak nie zdemaskowano, a Lena, mimo genialnego pomysłu, by zwrócić na siebie uwagę, wróciła z pobytu pod Tatrami bez męża.

Wspomniałem już jednak, że babcia nigdy się nie poddawała. Kiedy zrozumiała, że ani jako aktorka, ani taterniczka furory nie zrobi, kupiła sobie kino, jedno z pierwszych we Lwowie, a potem drugie, i miała tyle koron w kieszeni, że nie wyjeżdżała do

Zakopanego i Krynicy, tylko na Riwierę, do Dalmacji, do Wenecji. I tam wreszcie spotkała podstarzałego hrabiego i została hrabiną. Na to nigdy nie jest za późno, trzeba tylko się starać, jak moja babcia Lena.

Kolejny fragment książki „Zakopiański Dom Wariatów" we wtorek, 11 października 2016 r.

Zakopiański dom wariatów


Zakopiański
dom
wariatów
Romuald „Alek”
Roman
Wydawnictwo
Annapurna

Romuald „Aldek” Roman od 1984 roku razem z rodziną żyje w USA. Obecnie wraz z żoną Jolą mieszka w historycznej miejscowości Chestnut Hill pod Filadelfią, gdzie wielu bogatych fabrykantów budowało swoje wielkie gotyckie domy i rezydencje w stylu tudoriańskim. Silverstone Bed & Breakfast należący do Joli i Aldka mieści się w pięknej wiktoriańsko-gotyckiej posiadłości zbudowanej w 1877 roku dla rodziny Jenks, właścicieli kilku fabryk w Filadelfii. Dom zaprojektował znany architekt Theophilius Chandler, który założył szkołę architektury na Uniwersytecie Pensylwania.

Rezydencja, do budowy której wykorzystano tutejszy kamień z doliny potoku Wissahickon, o mieniącym się w słońcu srebrzystym odcieniu, usytuowana na wzgórzu, otoczona lasem i strumieniami, wygląda imponująco. Pobliska Zielona Dolina (Valley Green) jest jednym z największych parków naturalnych w Stanach Zjednoczonych.

W domu Romanów czuć Polskę i teatralną historię rodzinną. W jadalni wisi portret słynnej przedwojennej aktorki i śpiewaczki, po wojnie aktorki Teatru Polskiego w Warszawie, Janiny Romanówny, starszej siostry ojca Aldka Romana. – *Przypomina mi się jej warszawskie mieszkanie, nasze coroczne wizyty i morały cioci Janki* – opowiada Jola Roman. – *Bardzo ją lubiłam, była symbolem odchodzącego świata, manier i kultury. W życiu mówiła tak, jakby była na scenie. Jej mąż Mieczysław*

Mierzejewski, dyrygent i wielbiciel aforyzmów, które cytował przy każdej okazji, zawsze był ubrany w garnitur i białą koszulę z krawatem. Ciocia Janka zmarła w wieku 87 lat, ale w mojej pamięci pozostanie piękną, zawsze umalowaną starszą panią, w biżuterii.

W takich podfiladelfijskich warunkach powstała najnowsza książka Romualda „Aldka" Romana, błyskotliwie napisana i pełna humoru historia Zakopanego lat 50-tych i 60-tych. Zdobyła ona nagrodę czytelników w konkursie na „Najlepszą książkę na zimę 2015" w kategorii „Perły z lamusa". Ten sam portal uznał „Zakopiański dom wariatów" za jedną z Najlepszych Książek Roku 2015.

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Jola i Aldek Romanowie

Romuald „Aldek” Roman

Zakopiański dom wariatów

Książka ta jest dużej mierze fikcją, prawdziwe wydarzenia zostały poprzeinaczane z powodu zaników pamięci i fantazji pisarskiej autora. Obok znanych nazwisk osób tworzących Zakopane lat siedemdziesiątych przewija się w niej wiele wymyślonych postaci. Jeśli osoba, nazwisko czy sytuacja opisana przeze mnie przypomina komuś kogoś, kto w tamtych czasach mieszkał w Zakopanem, nie biorę za to odpowiedzialności.

Proszę nie powoływać się na tę książkę w poważnych artykułach, opracowaniach historycznych, a już szczególnie w pracach doktorskich, bo na pewno się nie obronią.

Zamiast wstępu

Penn patrzy na Giewont

Na wieży filadelfijskiego ratusza, sto sześćdziesiąt metrów nad dachami Filadelfii, stoi jedenastometrowy posąg z brązu przedstawiający założyciela Pensylwanii Wiliama Penna. Twórca posągów pstrzących monstrualne centrum biurokracji miasta wymyślił sobie, że mesjasz kwakrów będzie patrzył ze swojej wieży w kierunku Penn’s Landing. Tymczasem, gdy w 1901 roku stawiano ten czternastotonowy pomnik, zamiast twarzą na południe, ustawiono go twarzą na północny wschód. I Wiliam Penn spogląda z Filadelfii tam, gdzie za morzem, za górami są Zakopane i Giewont.

Ja też co jakiś czas tam popatruję i choć niby zrosłem się Ameryką, to co chwila coś sobie przypominam, coś, co we mnie siedzi, coś, co przeżyłem pod Giewontem. I tak żyję, i tak piszę.

Romuald „Aldek" Roman, Zakopiański Dom Wariatów, wyd. Annapurna, Warszawa 2015 r.

Fragmenty książki ukażą się na stronie w kolejne dwa wtorki.

Romuald „Aldek" Roman urodził się w 1949 roku w Nowym Sączu. Jest wnukiem znanego lwowskiego aktora teatralnego Władysława Romana i bratankiem słynnej polskiej aktorki teatralnej i filmowej Janiny Romanówny. W 1971 roku ukończył Wydział Leśny Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, a po wyjeździe do USA Temple University w Filadelfii. Ma wiele talentów i zainteresowań. Taternik, leśnik, nauczyciel, narciarz, menedżer w Environmental Protection Agency, gdzie był ekspertem stosowanej toksykologii przemysłowej, konsultant ONZ w Polsce i w Rumunii. Współpracował przy projekcie oczyszczenia Wyspy Neville Island, która była wcześniej śmietniskiem przemysłowych zakładów Pittsburgha. Pisze

krótkie szkice literackie, opowiadania i eseje – pełne dowcipu i dystansu wspomnienia z Polski, w tym z okresu zakopiańskiego oraz osobiste wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych. *(Na podst. Wikipedii).*

Inspiracja australijskim buszem w kolażach Anny Fiali



Anna Fiala

Anna Fiala ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Najpierw zajmowała się tkactwem artystycznym, następnie przez wiele lat malowała olejami martwe natury, pejzaże, ciekawe formacje chmur itp. Jednak prawdziwą pasję znalazła w fotografowaniu przyrody. Australijski busz dostarcza jej niekończących się inspiracji i emocji w odkrywaniu specyficznej atmosfery, nasyconej wielowiekowym istnieniem i zmianami tam zachodzącymi. Unikalne światło Australii odgrywa tu także swoją rolę – jest wielkim pomocnikiem artysty. Anna nie tylko fotografuje pejzaże leśne, ale ma szczególne oko do detali utrwalonych na korze starych drzew, w układzie światła, zależnym od sezonu, pogody lub pory dnia. Fotografuje leśne obrazy, które do niej przemawiają w szczególny i unikalny

sposób. Pokazuje realistyczne obrazki australijskiej przyrody i ukrytą w nich abstrakcję.

Galeria













Przekazywanie pałeczki



Ewa Pobłocka, fot. Wojciech Grzędziński/NIFC

Rozmowa z członkiniami Multi Trio, Ewą Pobłocką (fortepian), Ewą Leszczyńską (śpiew, fortepian) i Marią Leszczyńską (wiolonczela, fortepian).

Bożena U. Zaremba: Będąc jeszcze 12-letnią uczennicą szkoły muzycznej zaczęła Pani akompaniować swojej Mamie, śpiewaczce. Teraz koncertuje Pani ze swoimi dwoma córkami. Czy jest jakaś różnica?

Ewa Pobłocka: Zdecydowana różnica, bo ja mojej mamy słuchałam, a moje dzieci dyskutują ze mną na każdy temat.

BUZ: Czyli jest trudniej?

EP: Oczywiście. Różnica pokoleniowa jest gigantyczna. Ja byłam w domu przyzwyczajona do tego, że to, co rodzice mówili jest święte. W ten sam sposób starałam się wychowywać moje dzieci, ale one zawsze próbują mieć własne zdanie. Ale ta współpraca przynosi mi dużo satysfakcji. Chciałam podkreślić, że nie występuję z córkami, dlatego że to moje córki, ale dlatego,że obie są bardzo wrażliwymi muzykami. Są dociekliwe i ciekawe świata i muzyki. Nie traktują grania czy śpiewania, jako zawodu, ale robią to z pasją. W takie osoby warto inwestować czas.

BUZ: Więc jest Pan zadowolona, że córki wybrały zawód muzyka?

EP: Powiem tak, że jako muzyk, na pewno tak, natomiast, jako kobieta, nie jestem pewna, ponieważ tylko ja wiem, jak wyglądało moje życie z drugiej strony estrady. W obecnych czasach szczególnie jest to trudne, bo wszystko trzeba szybciej – decydować szybciej, dolatywać na koncerty szybciej, nawet grać szybciej [*śmiech*]. Ja mogłam sobie pozwolić na to, żeby usiąść i patrzyć w szybę, jak pada deszcz, a obecne pokolenie tego czasu już sobie nie daje.

BUZ: Jak Pani łączyła karierę z wychowywaniem dzieci?

EP: To były takie próby z doskoku – wysiadałam z samolotu i już zaczynałam je wychowywać, bo wydawało mi się, że powinnam nadrobić czas, kiedy mnie nie było. To oczywiście się nie sprawdza, bo trzeba być regularnie, trzeba mieć czas na rozmowy, na wysłuchanie. W tym zawodzie musi się wybierać – albo więcej poćwiczę, albo porozmawiam z dziećmi.

BUZ: Czy było też miejsce na rozbudzanie zainteresowań pozamuzycznych?

EP: Szczerze mówiąc w naszym domu nie było na to czasu, ponieważ wszyscy jesteśmy muzykami i całe życie kręci się wokół muzyki, jeżeli nieuprawianej przez nas aktywnie, to wokół życia koncertowego, którego organizatorem od wielu lat jest mój mąż, życia operowego, filharmonicznego, czy festiwalowego. Z drugiej strony moja kariera teraz wygląda trochę inaczej niż powiedzmy 15 lat temu, i daję sobie więcej czasu, żeby na przykład zatrzymać się w muzeum na dłużej, a nie tylko wpaść i zaliczyć.

BUZ: Jak doszło do tego, że z okazji tego tournée zostały napisane specjalnie dla Pań utwory Mikołaja Góreckiego i Roxanny Panufnik?

EP: Nasze trio jest dość nietypowe, raz, że nigdy nie było takiego przypadku, żeby matka taszczyła swoje dwie córki na scenę [*śmiech*], ale też ze względu na skład: fortepian, sopran i

wiolonczela. Kiedy kilka lat temu powstawał nasz zespół, miałyśmy problem z repertuarem, bo właściwie nie było, co grać. Zdobyłyśmy jeden czy dwa utwory XIX wieczne, potem ktoś przerobił pieśni Szuberta, ale to wszystko był ersatz. W pewnym momencie stwierdziłam, że trzeba kogoś poprosić o napisanie utworu specjalnie dla nas. Na Mikołaja Góreckiego padł wybór z tego względu, że słyszałam niejeden jego utwór i bardzo lubię jego muzykę. To była taka instynktowna decyzja. Spotkałam się z nim i opowiedziałam mu, co potrafimy i co sobą reprezentujemy. Też, jakie jesteśmy – no, bo każda z nas jest przecież inną osobowością. Z Roxanną Panufnik też wyszło jakoś automatycznie, ponieważ kiedyś grałam utwory jej ojca. Okazało się, że ma gotowy cykl utworów do słów Szekspira, który napisała dla pewnego tenora angielskiego. I zaadoptowała go na nasze potrzeby. Prapremiera będzie miała miejsce w pałacu w Radziejowicach za kilka dni w Polsce, ale podczas naszego tournée odbędzie się amerykańska premiera.

BUZ: Mikołaj Górecki jest synem wspaniałego kompozytora Henryka Góreckiego, Roxanna Panufnik, córką innego znakomitego kompozytora Andrzeja Panufnika. Teraz Pani przekazuje pałeczkę swoim córkom.

EP: Też właśnie dzisiaj pomyślałam o tych powiązaniach, nie tylko zresztą rodzinnych, ale i osobistych. Myślę, że na koncercie to wszystko jakoś zagra, bo te sprawy, które trudno nazwać jest

słowem odzywają się w emocjach podczas grania.

BUZ: Program składa się z samych utworów polskich kompozytorów i widać w nim wyraźnie głębię polskiej muzyki poważnej.

EP: Tak, oczywiście mamy bogaty repertuar pieśniarski, i solowy, i kameralny. Ciekawa rzecz, że przedstawiłam [organizatorom tournée] dwie opcje programowe, drugą z muzyką nie tylko polską, ale międzynarodową i wszyscy wybrali program polski. Ale myślę, że będziemy stale poszerzały nasz repertuar, bo to są bardzo miłe koncerty, chociaż trudne, przynajmniej dla mnie. Największym problemem jest, że w garderobie jest tylko jedno lustro, no a przecież wszystkie chcemy być piękne [*śmiech*]. Ale mówiąc poważnie pamiętam reakcje publiczności podczas moich koncertów z moją mamą, i te dodatkowe emocje. Publiczność znakomicie to odbiera.



Ewa Leszczyńska, fot. Maciej Grzybowski.

BUZ: A jak Pani odbiera współpracę z członkami rodziny?

Ewa Leszczyńska: Jest to na pewno dużo bardziej stresujące i wymagające. Trzeba bardziej uważać, co się mówi i jak się mówi. Poza tym jest ten dodatkowy bagaż – gramy z mamą, która jest niesamowicie doświadczonym muzykiem, ma za sobą mnóstwo koncertów i współpracę z wielkimi muzykami. Tym bardziej trudno zaproponować coś własnego. Jest w tym wszystkim trochę przekory wynikającej z relacji typu matka–córka i starsza–młodsza siostra. [Marysia] jest bardzo utalentowaną młodą osobą i gra na prawdę przepięknie, ale ma bardzo mocną osobowość, podobną do mamy. Ja w tym trio jestem osobą

łagodzącą konflikty. Ale najpiękniejsze jest to, że w momencie jak wychodzimy na scenę, te spięcia znikają i coś niewypowiedzianego nas łączy. Dla tych chwil zdecydowanie warto się pomęczyć na próbach.

BUZ: Czy mama jest nadal dla Pani największym autorytetem muzycznym?

EL: Mama jest przede wszystkim mamą. Jestem oczywiście świadoma tego, czego dokonała, jakie ma niesamowite doświadczenie muzyczne i, jakie sukcesy odniosła, ale przede wszystkim to jest moja mama.

BUZ: Dlaczego postanowiła Pani być śpiewaczką, a nie tylko jak mama pianistką?

EL: Może właśnie, dlatego, że mama jest pianistką [*śmiech*]. Na początku nie miałam specjalnie wyboru, po prostu zaczęłam grać na fortepian. A śpiew był faktycznie moim wyborem. Chyba tego właśnie mi było potrzeba, jakiejś własnej decyzji.

BUZ: Jakiego typu wokalistyka Panią interesuje – pieśni, opera, czy śpiewanie chóralne?

EL: Interesuje mnie możliwość śpiewania w różnych formacjach i różnego typu muzyki, chociaż może barok jest moim ulubionym

okresem w muzyce poważnej. Nie chcę się zaszufladkować i ograniczyć do jednej formy. Faktem jest, że do tej pory przeważało pieśniarstwo, ale jestem właśnie po moim pierwszym poważnym debiucie operowym, w „Semiramidericonosciuta" Leonardo Vinciego, operze, która nie była wykonywana od 300 lat.

BUZ: Jacy śpiewacy czy śpiewaczki wywarły na Panią największy wpływ?

EL: Zawsze chętnie słuchałam Jessie Norman, Cecilii Bartoli, bardzo lubię obecnie śpiewającą Dorothę Mields, która obraca się głównie w muzyce barokowej. Ale w sumie bardziej brałam przykład od instrumentalistów, szczególnie pianistów, takich jak DangThai Song, Maria JoãoPires, Nelson Freire, czy Martha Argerich.

BUZ: Co Pani z nich czerpie?

EL: Głównie prowadzenie frazy. I coś, co nazwałabym ponad-instrumentalnym traktowaniem instrumentu.

BUZ: Co Pani ceni w pieśniach Chopina? Istnieje opinia, że nie są one proste do śpiewania…

EL: To prawda, bo uważa się, że są łatwe w sensie wyrazu, ale to

jest pozorne. Zwłaszcza w obecnym świecie, to, co proste jest najtrudniejsze. Utrzymanie wtedy ciekawości publiczności jest bardzo skomplikowaną sprawą i wymaga szczególnych chęci, i od strony śpiewaka, i od strony słuchacza, ponieważ nie jest to spektakularna, wirtuozowska muzyka. Dotyczy to zarówno samego śpiewu, jak i akompaniamentu. Jest tu także duże pole do popisu, jeżeli chodzi o grę słów. Wydobycie tekstu pozornie banalnego wymaga dużo chęci i… miłości.



Maria Leszczyńska, fot. Maciej Grzybowski.

BUZ: Czy dla Pani granie z członkami rodziny jest równie trudne, jak dla mamy i siostry?

Maria Leszczyńska: Z jednej strony jest łatwiej, bo lepiej się znamy, ale te relacje często przeszkadzają, bo człowiek czasem się za bardzo unosi. Grając z obcymi, nawet bliskimi przyjaciółmi, łatwiej jest zachować dystans.

BUZ: Czy udało się Pani kiedyś przekonać swoją mamę do własnej wizji muzycznej?

ML: Za każdym razem próbuję to robić [*śmiech*]. Tak, czasami się udaje. Ja podobnie jak mama, zawsze chcę, żeby stanęło na moim. Ale najważniejsze jest to, że wszystkie jesteśmy otwarte na sugestie innych i staramy się, żeby wszystkim grało się dobrze.

BUZ: Jak doszło do tego, ze wybrała Pani wiolonczelę, jako główny instrument?

ML: Zaczęło się od fortepianu, no, bo to jest taka podstawa. Jak byłam mała chciałam grać na skrzypcach. Do wiolonczeli przekonała mnie siostra. I pokochałam ten instrument.

BUZ: Jacy wiolonczeliści mają na Panią największy wpływ?

ML: Największym przykładem jest mój profesor Marcin Zdunik, i profesor Andrzej Bauer których bardzo cenię i szalenie mnie inspirują. A jeżeli chodzi o muzyków światowych to Gautier

Capuçon i Jacqueline duPré, której niestety już nie ma, ale to, co po niej pozostało jest rzeczywiście niesamowite.

BUZ: Czy myślała Pani o innym zawodzie?

ML: Oczywiście. Kiedy miałam wybierać gimnazjum to chciałam iść do gimnazjum plastycznego i rodzice dali mi wolną rękę, ale w końcu stanęło na muzyce, od której trudno mi było odejść.

BUZ: Czy słucha Pani innej muzyki niż poważnej?

ML: Tak, mimo, że wychowana byłam na słuchaniu muzyki poważnej. Często, jak mam jakiś występ czy konkurs, to puszczam sobie utwory muzyki popularnej, która działa odstresująco.

BUZ: Jakie jest Pani podejście do utworów specjalnie napisanych na Wasze trio?

ML: To jest dla mnie oczywiście nowe doświadczanie, bo nigdy nie grałam utworów specjalnie dla nas napisanych. Fantastyczne jest takie wchodzenie w utwór, który jeszcze nigdy nie był wykonywany. Zawsze się uczyłam utworów, które ktoś kiedyś już grał, do których można się odnieść poprzez nagrania, czy to, co mówią inni, a my stwarzamy w pewnym sensie bazę, na której inni się będą wzorowali albo, do której będą się odnosili.

BUZ: Jest teraz Pani w klasie maturalnej. Co dalej? Akademia Muzyczna?

ML: Oczywiście – studia muzyczne. Zastanawiam się jeszcze, gdzie. Wiele osób mnie namawia, żeby wyjechać [studiować] za granicę. Może to kiedyś nastąpi, ale muszę zacząć od miejsca, w którym jestem, w którym się wychowałam, potem zobaczymy.

BUZ: Czy myśli Pani o karierze solistycznej?

ML: Bardzo bym chciała. Uwielbiam być na scenie. Zawsze marzyłam, żeby zagrać z orkiestrą symfoniczną, ukłonić się, usiąść i zagrać cały koncert na wiolonczelę. To musi być niesamowite uczucie.

Wywiad został przeprowadzony dla Chopin Society of Atlanta w związku z koncertem artystek 9 października, 2016 w Atlancie. Więcej informacji na stronie: www.chopinatlanta.org*.*



Multi Trio, fot. Maciej Grzybowski.



Multi Trio, fot. Maciej Grzybowski.

Trasa koncertowa Multi Trio:

7.10 – Chicago

9.10 – Atlanta

12.10 – Waszyngton

16.10 – Los Angeles

18.10 – Nowy Jork

Wywiad w wersji angielskiej ukazał się na stronie Chopin Society of Atlanta:

http://chopinatlanta.org/interviews/MultiTrio.html

Ostatni Latyn: Zygmunt Kubiak (1929-2004)



Zygmunt Kubiak, Warszawa 1998, fot. Elżbieta Lempp.

Florian Śmieja

Pamiętam przedwojenny podręcznik gimnazjalny do nauki łaciny i jego motto „Disce puer latine”. Nie były to jednak czasy króla Stefana Batorego, który obiecywał nagrodzić godnościami tych, którzy łacinę opanują, niemniej przeto język Rzymian był w poszanowaniu, a jego mistrzowie stanowili zdumiewającą gromadkę lojalnych miłośników antyku pragnących nie tylko nauczyć języka Cycerona, ale także kultu wielkiej śródziemnomorskiej cywilizacji.

To dzięki przykładowi mojego profesora łaciny w wojskowym gimnazjum w Szkocji ośmieliłem się przekładać Wergilego polskim heksametrem, by później wręczyć moją wersję IV Bukoliki, mesjanistycznej, wielkiemu piewcy antyku, Janowi Parandowskiemu na stopniach British Museum, kiedy mu pozwolono pojechać na zjazd PEN Clubów do Londynu.

Podziwiałem niektórych księży znakomicie posługujących się łaciną, przyklaskiwałem Watykanowi przemyślnie kreującemu łacińskie słowa na „motocykl”, kiedy masowo odwiedzili Ojca św motocykliści.

Po zaledwie roku greki i lekturze o młodym Cyrusie musiałem zadowolić się przekładami greckiej literatury na polski. Tymczasem te tłumaczenia wcale nie były błahe: do dziś

poważam piękne teksty, które ukazały się na emigracji w Londynie, a więc „Iliadę” Homera w roku 1961 i „Eneidę” Wergilego w 1971 przełożone przez Ignacego Wieniewskiego. Stoją nadal na moich półkach. Zaglądam też do wydanego przez Veritas w Londynie w 1957 roku przekładu „Odysei” Józefa Wittlina. Ta trzecia wersja pokazuje upór tłumacza, by stworzyć wersję ostateczną. Już wówczas Wittlin ostrzegał:

> “Mimo że wypadło nam żyć w epoce telewizji zabijającej wyobraźnię, czy tylko ograniczającej jej pracę, musimy posiłkować się starodawną magią słów, pisanych i drukowanych, gdy chcemy czytelnika wprowadzić w losy Telemacha, a nawet wzruszyć tymi losami. Telemachia czy Telewizja”.

Tymczasem Kościół Katolicki zarzucił używanie łaciny, nawet przemocą rugował ją z lubianej liturgii. W szkołach przestano jej uczyć, tak że dziś przedmiot to arcyrzadki.

Z jej zmierzchem oddaliła się nieco kultura antyczna. Musi ona obecnie prosić o wsparcie języki nowożytne. I tak mitologia, literatura czy historia starożytnych Greków i Rzymian stara się nas oczarować w obcej dla siebie szacie. Na szczęście zdarzają się takie cuda dzięki pietyzmowi tłumaczy i pośredników. W Polsce ich czołowym reprezentantem był Zygmunt Kubiak.

Jego nazwisko zadźwięczało w moim uchu po raz pierwszy bardzo dawno temu bo w 1957 roku. Wtedy to pismo nasze „Merkuriusz Polski” wydawane przez młodych w Londynie ogłosiło konkurs dla dobrze zapowiadających się młodych krytyków, a światłe jury pod przewodnictwem Jerzego Zawieyskiego wybrało laureatami Mariana Pankowskiego z emigracji, a z kraju Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego oraz Zygmunta Kubiaka. Tego ostatniego miałem poznać dopiero kilka lat temu we Wrocławiu, kiedy odbierał nagrodę „Odry”. Z miejsca mi wyrecytował mój wiersz poświęcony Markowi Aureliuszu wprawiając mnie w niemałe zdumienie.

Wybitny tłumacz Wergilego, liryki łacińskiej, „Wyznań” św. Augustyna oraz nowogreckiego poety Kawafisa, zaskoczył sceptyków ogromnym powodzeniem swoich książek „Mitologia Greków i Rzymian”, „Literatura Greków i Rzymian” oraz „Dzieje Geków i Rzymian” i z czasem obsypany został nagrodami i wyróżnieniami.

W 1995 roku przywiozłem sobie z Polski jego „Brewiarz Europejczyka”, zbiór esejów napisanych dla pokrzepienia bratnich duchów. Napisał on wtedy:

> “Muszę uznać, że żyję w okresie, kiedy nie mogę dać jakichkolwiek rad, mogę tylko, w całej szczerości, mówić o

> tym, co osobiście wybrałem; może ktoś pójdzie w moje ślady. Przyzwyczaiłem się do tego, by żyć w duchowej samotności, otoczonej sferą mało zrozumiałą. Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego".

Niemniej przeto sugerował zwrot ku starożytności.

> "Bogactwo kultury rzymskiej odsłania przede mną podstawy życia społecznego i organizacji państwowej, obiektywne stosunki między ludźmi, a jednocześnie ostrzega mnie i broni przed wszelkimi iluzjami totalitarnymi". Nic dziwnego, że za taką postawę w jednej z gazet nazwano go „Latynem nad Wisłą".

Kubiak należał do grupy tych pisarzy, którzy pamiętają przeszłość. Ciężko doświadczony w czasach PRL-u zganił apologetów tej formacji utrzymując, że proces stwarzania fikcyjnej przeszłości nadal rozwija się i narasta. Drukowany w czasie przedgomułkowskiej luki w cenzurze esej „Natura i obłęd" pojawił się w książce w towarzystwie działu „Z przeszłości" i „W piwnicy niewoli tchnienie wolności w kulturze". Autor nakreślił w nim delikatny obraz powściągliwego i ostrożnego Jerzego Turowicza. Kubiak dodaje:

> „A pod tą łagodnością była stal dawnych rycerzy i hetmanów. Zupełna niezłomność. I absolutna prawość, szlachetność. Nie spotkałem nikogo, kto byłby tak twardy, jak ten łagodny człowiek, który nigdy nie podnosił głosu”.

Konkluduje wskazując na odepchnięcie przez Turowicza zarówno obskurnej lewicy jak też obskurnej prawicy.

> „Strefa Jerzego została i już w Polsce zostanie. Cierpi się nadal, ale można przynajmniej w głębi swojej duszy spokojnie zignorować dwoisty terror dwóch odłamów kretynów: tych od rdzennych Polaków i tych od laickiej postępowości. Można spokojnie zmierzać – choćby to była jeszcze długa i bardzo trudna droga ku Polsce obywatelskiej”.

W “Zapiskach z wędrówki” wspominając dzieciństwo nie zapomina o gorzkim smaku, jak powiada, brzemienia dojrzałości, tej ważnej zmiany w dziedzinie odpowiedzialności. Sugeruje nam, byśmy się od razu nastawili na taki świat niedoskonały, z zadrą, by

> “…w takim świecie chłodno, z dużą dozą obojętności wobec

> spraw drugorzędnych, prestiżowych, psychologicznych, która komuś może wydać się nawet oschła, pilnować interesów istot, dla których możemy coś uczynić". Taką postawę nazywa szkołą mądrości rodem znad Morza Śródziemnego. Radzi też kultywować cnotę obojętności, wewnętrznego spokoju. Zaleca, że "Dusza sucha jest ze wszystkich najmądrzejsza i najlepsza", czyli taka dusza "która ani nie oddaje się snom i złudzeniom, ani nie płacze nad rzeką czasu".

Najwięcej miejsca poświęca ukochanej Grecji i podziwianemu Rzymowi. A w tym, co mówi o antyku dwie postacie stale się przewijają: Homer i Horacy. Przypomina, że żyli pod tym samym niebem w świecie poddanym straszliwym wyrokom przeznaczenia i śmierci. Obaj w pięknie literatury i sztuki szukali nieśmiertelności. Posłuchajmy Kubiaka:

> "Horacy był heroicznym artystą. Żaden inny poeta nie ukazuje nam tak wyraźnie patosu walki o poetyckie słowo. Bo gdy czytamy „Iliadę", ogarnia nas od razu wielki dech epopei, heksametry szumią i łopoczą, jak skrzydła. U Homera cierpliwa praca poety-rzemieślnika jest niemal zupełnie pokryta przez rozmach potężnego natchnienia. Oczywiście, w swoich ogromnych gestach jest Homer idealnym wzorem heroizmu sztuki antycznej. Nosił on w

> sobie głęboką świadomość tego, co w naszej epoce Conrad nazwał wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Jakaż mogła być sprawiedliwość dla świata, który ginął z niepojętego wyroku? Walczyć o jego ocalenie, oto hasło poetyckiej służby.To zadanie przekraczające siły człowieka, było jedyną nadzieją dla homerowego świata, nadzieją wypowiedzianą ustami Heleny: „Ciężką nam dolę dał Zeus, abyśmy dla potomnych żyli w pieśni”.

Mimo wszystkiego, co dzieliło obu poetów, Horacy stał w tej walce obok Homera. Umiał go komentować tak wspaniale, jak chyba nikt ze starożytnych, oczywiście – nie wtedy, gdy wyciągał z historii trojańskiej stoickie morały, ale wtedy, gdy z genialną intuicją dotykał Homeryckiej sztuki. Niezapomniana jest ta strofa, w której Horacy mówi o bohaterach greckich z czasów przed Agamemnonem:

> „oto oni wszyscy zaginęli w mroku nocy, bo nie mieli swojego poety. Czy rozumiemy, co znaczy owa sława, którą bohaterowie uważali za najwyższe dobro, co znaczy owo imię żyjące w pieśni? Jest to krąg światła, który zmaga się z mrokiem unicestwienia, z nocą ogarniającą świat. Homer chciał wydrzeć Mojrze choćby część jej łupu. Chciał ocalić blask oczu Achillesa i królewski majestat Troi”.

U Bliklego na Nowym Świecie rozprawiałem z Autorem o wspólnie cenionej przestrzeni rozciągającej się od Morza Bałtyckiego po Morze Jońskie wyobrażając sobie, że siedzę nad sekretnie obudowanym polskim źródłem Aretuzy.

W roku 2003 odwiedziłem go w jego skromnym mieszkaniu w bloku na Pradze. Nie przeczuwalem, że miało to już być nasze ostatnie widzenie.

Nie miał się już doczekać wejścia ojczyzny do Unii Europejskiej, na Nowym Świecie nie będzie dalszych spotkań. Nie otrzymam też widokówek z Aten czy Rzymu od naszego Ostatniego Latyna.